

# DEMOKRATA POLSKI.

Demokrata Polski wychodzi co dwa tygodnie.—Opłata na Dziewięć półtęgi: w Anglii szyl. 3, we Francji fr. 3 cent. 75, w Polsce złp. 6.—Cena pojedynczego num. 4 d. czyli 42 cent.—Prenumerować można: w Księgarni Triöner & Co. Paternoster Row. E. C. London.

Dnia 10<sup>go</sup> Stycznia 1860.

Wszystkie listy, pisma, dzienniki, piśmiadze, mandaty, i. t. d., przeznaczone do *Demokraty*, równie jak do Centralizacyi, mają być przesyłane pod adresem: Mr Anthony Zabicki, 2, Thanet Street, Burton Crescent, London. W. C.

## KILKA SŁÓW

### O STRONNICTWACH I PROPAGANDZIE.

Od czasu niejakiego słyszeć się daje dość skrzętnie rozsiewane twierdzenie: "Stronnictwa niepotrzebne! Propaganda skończona! I w kraju i w emigracyi wszyscy wiedzą już doskonale, co robić i jak robić!..." Owoż, gdyby tak było istotnie, to my najszczęśliwiej ucieszyłobyśmy się temu najpiękniejszemu; lecz na nieszczęście, wiele rzeczy, o których wiemy dobrze, nie pozwalają nam tej pociechy jeszcze.

A najprzód co do stronnictw. Nie raz już w piśmie naszym rozbiegaliśmy to zadanie: Czy stronnictwa mają swoje usprawiedliwienie? A zdanie nasze zawsze było, że jeżeli Polska wyzwolona błogosławić będzie za co Emigracyą, to przedewszystkiem za to, iż przez swoje stronnictwa wyręczyła ją w tym na polu piśmiennym, co w kraju, na innem polu, krwią może musiałoby się rozstrzygnąć. Nie wszyscy to jednak, widząc, rozumieją tak z nami, skoro od czasu do czasu podnoszą się wołania, z krajem nawet, o zwinięcie stronnictw emigracyjnych. Jakoż Emigracya szła zawsze za tym głosem, ile razy jej piśmienne spory zastąpić miały lub zastąpić były powinny krwawe rozprawy z wrogiem. Zgoda w tym z krajem może tak być dzisiaj jak była dawniej; lecz na co zgody nigdy być nie może, to na tę nieoileczność, że kraj o tę zgodę do Emigracyi wołając, sam ją do niezgody podmawia. Bo i jakże inaczej wytłómaczyć się dadzą te od czasu do czasu krajowych literatów i potentatów stania się po salonach hotelu Lambert, jeżeli nie podtrzymywaniem i zachęcaniem do istnienia stronnictwa, a raczej koteryi w całym tego słowa znaczeniu, bo bez żadnej zasługi i prawa do istnienia. Żaden z Czartoryskich, umarłych i żyjących, niczem takim nie zasłużył się Polsce, żeby koło któregośkolwiek z nich, i około ich wszystkich razem, jakiekolwiek stronnictwo narodowe nawijać się mogło. Ani popularność feldmarszałka austriackiego, ani zasługi ministra moskiewskiego, ani rozum i poświęcenie się synów tegoż do usprawiedliwienia podobnych pretensyi nie wystarczają. To była i będzie zawsze koterya tylko, mająca na widoku wyniesienie się familijne, a czyżto godne przyznania ludzi chcących uchodzić za mających na celu: prawo i dobro narodowe? Zły przykład jednych wywołuje naśladowictwo drugich. Toż kiedy jedni, którym się to podoba i uda, płaszcząc się Czartoryskim, podpierają i utrzymują ich stronnictwo książęce, tedy znów drudzy, krejąc się około innych imion, tworząc stronnictwa jenerałów, dyktatorów, jezuitów, proroków, mistrzów, jak to było z jenerałami Rybińskim i Skrzyneckim, z Tyszkiewiczem, Mickiewiczem, Towiańskim i z wielu innymi jeszcze. Gdybyż te wybryki, będące dowodem surowości i niedoświadczenia politycznego, należały już do przeszłości, byłaby to tylko skaza na kartach dziejów narodowego męczeństwa; ale na nieszczęście, ta choroba nawijania stronnictw około imion zdaje się zagrażać dziedziczością, schodząc z ojców na synów;—bo i jakże wytłómaczyć znowu te w ostatnich czasach zabiegi w wyszukiwaniu nowych jakichś Kościuszków, te ich na gwałt portretowania, owacy, biesiady, rozdawania pałaszów honorowych i tym podobne pochlebstwa? Jedno z dwojga: albo to jest poczucie potrzeby stronnictw, a wtenczas zgoda z nami, z tą różnicą tylko, że nie około imion, lecz około myśli nawijać je należy, albo jest to po staremu skutek surowości i niedoświadczenia politycznego, z których raz wyjść trzeba nareszcie. Czyż dla tego: że Kościuszko bił wrogów pod Racławicami, że Poniatowski był marszałkiem francuzkim, że Dwernicki brał armaty pod Sto-

czkiem, że Skrzyneckiemu udały się Iganie, a Mickiewiczowi Dziady, to już każdy z nich i każdy z podobnych im ma prawo być na swojej ręce reprezentantem sprawy narodowej i gromadzić około siebie narodowe stronnictwo?... Nie! Nigdy! Jedna tylko jest Polska, i jedna myśl tylko wskrzesić Polskę może, a ta jest: jedno prawo dla całego Ludu Polskiego,—i około tej myśli tylko nawijające się stronnictwo, ma jako takie prawo istnienia, aż dopóki wszelkich innych stronnictw z gruntu narodowego nie uprzatnie. A teraz co do propagandy.

"Propagandy już nie potrzeba!" mówią przeciwnicy nasi. Otoż jeżeli dla kogo, to dla nich właśnie potrzeba jej koniecznie. Potrzeba jej dla nich, jeżeli są arystokratami, jezuitami, mistykami, pretoryanami, egoistami lub zobojeźnionymi Polakami, ażeby takimi raz być zaprzestali; potrzeba jej dla nich koniecznie, jeżeli są demokratami, jeżeli istotnie mają na celu niepodległość Ojczyzny: Równość, Wolność i Braterstwo Ludu Polskiego, ażeby ci, których cele są ich celom przeciwne, nie mieli środków i sposobu brojenia. Są wszakże inne jeszcze względy za potrzebą propagandy ciągłej przemawiające. Jakoż, gdyby istotnie pokolenie schodzące, które powinno swoje spełnić mogło lub przynajmniej spełnić ją miało sposobność, nie już do nauczania się nie miało, godził się przeto twierdzić, że pokolenie nowe o niczem wiedzieć i niczego uczyć się nie ma potrzeby? Przez porównanie, byłoby to nakszałt twierdzenia, że ponieważ ojcowie się uczyli, więc synowie uczyć się nie powinni. Otóż, według nas, pokolenie nie tylko dojrzewające i na scenę polityczną wchodzące, ale nawet dojrzale i schodzące, ma z każdym dniem do nauczania się wiele; bo jak wszelka nauka i umiejętność, tak podobnie pojęcia i wyobrażenia społeczne z każdym dniem postępują,—a komuż nie wiadomo, przeto, że zaniedbanie się w nauce wytrąca z głowy to nawet, co się kiedyś umiało. Nie jeden z jenerałów, po latach kilkunastu lub kilku, zapomniał szkoły plutonu; nie jeden z synów, ćwiczony w szkole obcej, moskiewskiej lub niemieckiej, kilku wierzy czystą polszczyzną skleić nie podola, chociaż ojciec jego doskonale myślał, mówił i pisał po polsku. Wszak Emigracya polska nie szła w świat także bez myśli, a co by się było stało z tą myślą, gdyby nie byli tacy, którzy na jej straży niezmordowanie dotrwali?... —"Propagandy nie trzeba?" A czyż było jej dosyć, kiedy tylu, o których już się zdało że nawskróś świadomością obowiązków swoich przejęci, oni po to tylko na ziemi polskiej stanęli, ażeby tam błędy wyrzucane swym poprzednikom powtórzyć?... —"Propagandy nie trzeba!" A czyż nie ma pomiędzy nami takich, dla których przyłgnięcie do myśli nowej było tylko środkiem do stopni i tytułów, i którzy odtąd nie przestają pisać i rozpisywać, iż od chwili, kiedy oni swego dopięli, myśl nowa pogrzebaną została?... —"Propagandy już nie potrzeba", prawia inni nareszcie, dla których słowo jest wiatrem, podpis żartem przeznaczonym do odwołania jutro za nędznych parę srebrników,—którzy dla tego tylko przez ćwierć wieku odgrywali rolę synów wiernych ojczyźnie, ażeby na pierwszą wieść o amnestyi carskiej wyżebrać sobie litość swoich a pogardę i naigranie się u obcych?...

Toż nie mówcie, o Bracia! ani wy w pielgrzymiskiej powinności wytrwali, ani wy z kraju wpośród nas z dobrą myślą przybywający, ani wy na ziemi ojczystej około wyzwolenia jej pracujący, że stronnictw i propagandy nie trzeba,—tylko wszyscy popołu w to waszą usilność wlecie, ażeby na tułactwie i w Kraju, jedno tylko było stronnictwo i jednej propaganda myśli, a ta jest: przez Równość, Wolność i Braterstwo Ludu Polskiego—Niepodległość całej Ojczyzny.



## KORESPONDENCYA.

Z OKOLIC PARYŻA, 20 Grudnia 1859.

Stosownie do waszego życzenia, udzielam wam krótką wiadomość o śmierci i życiu Walentego Zwierkowskiego, któregoście przybiecali czytelnikom Demokracji.

Już przeszło od roku zapadał ciężko na zdrowiu zacny ten patriota, i lubo, przy jego podeszłym wieku, nie można mu było wróżyć bardzo długiego życia, nikt się jednak nie spodziewał tak rychłej jego śmierci. Umarł on, jak o tém namieniliście, dnia 14 b. m. o god. 2 po południu. D. 16, około południa, zwłoki jego licznie zebrani rodacy odprowadzili do pobliskiego kościoła *St. Germain des Prés* (niegdys opactwa tego nazwiska), a stamtąd, po odbytej mszy żałobnej, przy ołtarzu obok grobu naszego króla Jana Kazimierza, na cmentarz *Montmartre*, do jednego z grobowców polskich. W orszaku pogrzebowym, w którym wszystkie odcienia polityczne miały swoich reprezentantów, znajdowała się także deputacja uczniów Szkoły Polskiej na *Batignolles*, z kilku nauczycielami i całą Radą szkolną. Nad grobem przemówił poseł Jan Ledóchowski, króląc w pięknych i rzewnych wyrazach długoletnie zasługi oraz nieskazitelną charakter nieboszczyka. Mówił także i Stanisław Poniński, przed r. 1830 uczeń Szkoły Podchorążych i naoczny świadek udziału, jaki miał nieboszczyk w związkach patryotycznych z owej epoki.

Tyle co do śmierci i pogrzebu. Co do samego życia Walentego Zwierkowskiego, tego także mogę tu tylko słaby rys podać; lecz czego ja należycie dopełnić tej chwili nie mogę, dopełnią zapewne inni, i uczczą pamięć męża, który przez 50 lat z górą służył statecznie ojczyźnie: orężem za Księstwa Warszawskiego, radą w kole sejmowym lub w spisach patryotycznych za Królestwa Kongresowego, i znowu radą lub piórem na wygnaniu, od r. 1831.

Oto rys jego życia.

Urodził się Walenty Zwierkowski w r. 1788, we wsi Molnyszu, pod Częstochową, z ojca Ignacego Zwierkowskiego i Maryanny Kałuskiej. Nienawidząc do naszych wrogów odziedziczył po ojcu, który, za konfederacyi Barskiej, był adjutantem Kazimierza Puławskiego. Ukończywszy nauki w szkołach pijarskich w Piotrkowie, wysłany został do uniwersytetu w Halli; lecz wkrótce, w r. 1806, jak tylko Polakom nadzieja zabłysła, i w powstającym Księstwie Warszawskim zaczęto formować *wojsko polskie*, zaciągnął się do pułku Krakusów. Krzyż *virtuti militari* i zaszczytna wzmianka w rozkazie dziennym generała Zajęzka były niedługo nagrodą jego waleczności. Następnie przeszedł do pułku ułanów gwardyi Napoleona, i w tym pułku odbył kampanie hiszpańską i austriacką. Oslabiony atoli trudami wojennymi i okryty ranami musiał wrócić do ojczyzny i spokojniejszemu oddać się życiu. Odtąd rozpoczął zawód obywatelski, w którym odznaczając się zawsze prawością, poświęceniem i zdolnością, umiał sobie jednać zaufanie współzemiemian; jakoż bywał wybierany radcą obywatelskim w swoim województwie, marszałkiem sejmiku powiatowego, sędzią pokoju i posłem na sejm. W sejmie należał do tak zwaną „partyi Kałuskiej”, która była jądrem opozycyi legalnej. Kiedy naczelnikowi tej opozycyi, Wincentemu Niemojowskiemu, wzbroniony był przez W. Ks. Konstantego przyjazd na sejm do Warszawy w r. 1825, Walenty Zwierkowski, wraz z dwoma swymi kolegami: Józefem Komorowskim i Józefem Szebietowskim, zaniósł protestacyę do sejmu przeciw krzyżującą swawoli carewicz. Protestował również przeciw *dodatkom* do konstytucyi artykułowi (z d. 13 Lutego 1825 r.), znoszącemu jawność obrad sejmowych, i kiedy Mikołaj, w r. 1829, zjechał na koronacyę do Warszawy, Zwierkowski sam jeden domagał się odwołania rzeczonych artykułów. Na tak śmiały krok trzeba było, zaiste, mieć w sobie wiele odwagi cywilnej. Zwierkowski wielką odwagę cywilną okazał jeszcze drugi raz, kiedy w r. 1830, po zapadłej na sejmie uchwale względem wystawienia pomnika Aleksandrowi, nie tylko sam nie chciał dać składki i pójść na dawany (u prezesa senatu niecną pamięci Stan. Zamejskiego) bal z tego powodu, ale i innych członków sejmu głośno od tego odwoził. Nie zamykał atoli Zwierkowski swych patryotycznych działań w ciasnym kole opozycyi legalno-sejmowej, z kąd hasło do zrzucenia jarzma nigdy wyjść nie mogło; lecz działał poza sejmem: naprzód, w spisku koronacyjnym, a gdy ten z winy trzech *hrabiów*

(Zob. Mochackiego *Powstanie Nar. Pol.*) udaremnionym został, w spisku Szkoły Podchorążych. Dla tego to przed samą rewolucyą objęddzał różne części kraju, aby do ogólnego ruchu przygotowywać umysły. Po rewolucyi zasiadał w sejmie jako deputowany VII cyркулу M. S. Warszawy; był naprzód prezydującym przygotowawczego zebrania, dalej członkiem delegacyi wyznaczonej w połowie Grudnia do wyrozumienia Chłopickiego, i byłby miesiącem wcześniej wykrył przed narodem zgubne zamiary dyktatora, gdyby go był od tego *zabłędami* swemi Czartoryski nie wstrzymał. Następnie zasiadał w różnych komisjach sejmowych, używany był do różnych misyi i sprawował często obowiązki sekretarza izby poselskiej. Lecz jak wprzód, tak w czasie rewolucyi działał i po za sejmem: był jednym z wice-prezesów *Towarzystwa Patryotycznego* i prezesem *Towarzystwa polepszenia stanu włościan*. To ostatnie towarzystwo miało właściwie na celu *uwłaszczenie* ludu wiejskiego; Zwierkowski też usamowolnił i własnością gruntową obdarzył swoich *poddanych*, w czem go nie wielu z jego kolegów sejmowych naśladowało. Prócz tego był majorem dowódcą konnej gwardyi narodowej Warszawskiej, a przy samym końcu, w tym samym stopniu, dowódcą 2go pułku Krakusów. W Emigracyi był naprzód członkiem Komitetu Narodowego pod przewodnictwem Lelewela; następnie krzątał się gorliwie około skojarzenia całej Emigracyi w jedno ciało polityczne; ale gdy to usiłowanie nie wzięło skutku, i w r. 1846 rozwiązał się „Komitet Zjednoczenia”, którego on był członkiem, wszedł do Towarzystwa Dem. Pol. i pozostał wierny do końca jego zasadom. Od roku tylko, przestał być, jak dobrze wiecie, czynnym członkiem Towarzystwa z przyczyn wyżej wzmiankowanych. Cześć jego pamięci, teraz i na późne czasy!.. (J. H. Janowski)

26 Grudnia.

W korespondencyi mojej z d. 5 b. m. zdaję sprawę o obchodzie 29go na Batignolles, powiedziałem, że Leon Kapliński musiał, na żądanie zgromadzenia, powtórzyć jeden ustęp ze swego *Wiersza do Wieszczki Psalmów*, który deklamował na rzeczonem obchodzie, i który się ogólnie podobał. Widzę potrzebę przytoczyć tu ten ustęp i zrobić parę uwag z powodu, że nie dzieli tak wygórowanego uwielbienia ani dla autora *Psalmów Przyszłości* (Zygmunta Krasińskiego), ani ogólnie dla naszych wieszczów, tak zwanych *mistrzów słowa*.

Zygmunt Krasiński, w piątym i ostatnim psalmie (*Psalm Dobręj Woli*), odzywając się do Boga, rozpoczyna każdy ustęp temi słowy:

„Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie...”

Kapliński, odzywając się do Krasińskiego, w podobny sposób rozpoczyna każdy ustęp swego wiersza, i tak między innemi mówi:

„Wszystko, ach! dałeś, co miłość dać może.

„Tę szlachcie polskiej, w której czuliście braci!

„Przekłąłeś na nich wyciągnięte noże;

„Najczystsze z dziejów zwolywał postaci:

„Uczyłeś, jak się winy skruszą małą;

„W dniu im życia wsuwałeś pochodnie;

„Chciałeś, by znowu przed narodem godnie

„Hu!cem wybranym byli, przednią strażą;

„Lecz, patrz, dziś wielu gasi te gronnice,

„Jakie Twa wielka rozpałała wiara;

„I w starą niegdys Zygmuntoń stołicę

„Biegnie przyjmować północnego cara;

„A kilku skoczków i polskie dziewice,

„Co się wzywały z wstydu na tę chwilę,

„Nędzne odgrywa przed nim krotkie!

„Gdy inni milczą z uśmiechem weseli,

„I tak spokojnie jakby nie wiedzieli,

„Ze gdzie godności swój naród nie trzyma,

„Cierpienie samo już świętości nie ma.

„Zanim zapowiesz przed oblicze Boże;

„Tych, co już Polaki zaprzeć się gotowi,

„W snach upominaj, stawaj w wezłowi:

„Może się ziękną, i zawstydzą może,

„Widząc, że mima imię i ród świętyny

„Tyś miedzy nimi był jeden *Salachetny*!

W tym wierszu:

„Lecz, patrz, . . . . .”

i dziesięciu następnych sprawiedliwie, zapewne, i pięknie wyraził Kapliński uczucie pogardy dla tych Polaków i Polek, co niedawno



robili z siebie pośmiewisko przed carem w Warszawie. Ale zkądże mu to wesoła myśl przyszła do takiej apologii czy apoteozy Zygmunta Krasińskiego, który przecież bywał także na wieczorkach u cara Mikołaja, i lubo napisał: "zgińcie, me pieśni; wstańcie, czyny moje!" nigdy się nie zdobył na żaden czyn patryotyczny?—Po wyjściu z druku *Wiersza Kaplińskiego* i odczytaniu go, odczytałem naumyślnie *Psalm Przyszłości*, i nie znalazłem w nich żadnej z tych wielkich prawd, któreby dla szlachty polskiej mogły być "pochochodniami życia."—"Pochodnie życia" dla szlachty znajduję nie w *Psalmach* Z. Krasińskiego ale w *Stefanie Czarneckim* (Pieśń X, str. 422) Kajetana Koźmiana. Jakkolwiek K. Koźmian był równie biernym patryotą jak i Z. Krasiński, jakkolwiek nie przyświecił także narodowi żadnym czynem patryotycznym, daje jednak szlachcie jedynie mądre przestrogi i rady, odzywając się do niej w te słowa:

"Dalaś stawie pomniki, dalaś dziejom watek;  
"Leez w dumie zapomnianaś, skąd wzięłaś początek!  
"Sama wolna, lud jarzmem gniołłaś niewolniczym;  
"Chciałaś być wszystkiem w kraju, i dziś jesteś niczem.  
"Wciel się w lud, on twą przyszłość zna swą ozdoba,  
"A gdy ludem zostaniesz, lud się stanie toba."

Zdaje mi się, że czytelnicy Demokraty będą mego zdania, i nie podziela uniesień Kaplińskiego dla autora *Psalmów*, którego pojęcia religijne, polityczne i społeczne nie są zgodne z duchem XIX wieku. Niech jednak ztąd nikt nie wnosi, abym chciał jak Platon ze swojej Rzeczypospolitej wypędzać z przyszłej Polski poetów; nie, broń Boże! jabym tylko chciał, aby ich zaprzestano uważać za świeczniki i kierowników narodu. Poeci w polityce na nie się zdali. Gdzież, pytam się, poeta Lamartine zaprowadził Francuzów w 1848? A Emigracja Polska nie byłaby zjezuicią lub ugrzęzła w mistycyzmie Towiańskiego, gdyby była szła za Mickiewiczem? Te dwa przykłady dostatecznie wspierają moje zdanie, a możnaby wiele innych przytoczyć.

(J. N. Janowski)

KURS PUBLICZNY LITERATURY POLSKIEJ W PARYŻU, wykładany 1858 i 1859 r. w Sali Towarzystwa Uczonych (Quai Malaquais, 3.) przez Leona Zienkowicza, Członka Towarzystwa.

(Dalszy ciąg.) Zakres pisma naszego nie pozwala przedstawić w niem, słowami Ob. Zienkowicza, rozwoju jego dziejów Sławiańszczyzny przedchrześcijańskiej. Pobieźmie wspomnieć tylko możemy, że według niego pierwotne dzieje sławiańskie w ogólności, a polskie w szczególności, tak dalece są inaczej rozumiane i oceniane dzisiaj, iż te nasze kopce Krakusa i Wandy, pod Krakowem, długo za wyłącznie polskie albo lechickie uważane, były na cześć tychże samych bohaterów sypane, których pamięć do dzisiaj czci u siebie Sławiańszczyzna nad Elbą i na brzegach Adryatyku. Ob. Zienkowicz sądzi, że w środku, jak gdyby w sercu tego niezmiernego obszaru sławiańskiego, osiadli byli Polanie czyli Polacy, i *Lesianie* czyli Leci, tak zwani od pól i lasów, które zamieszkiwali, a których ziemia przeto raz: *Polonią* czyli Polską, a drugi raz *Lesią*, czyli pisząc to z cudzoziemską: *Lechią* się zwała.

Przechodząc Ob. Zienkowicz do tych już czasów, kiedy Polska na widowni literackiej świetnieć zaczyna: Naród Polski, powiada, z narodem Lechickim, tak jak później z Litwą i Rusią, w jedno ciało łączony, wszystko co sam tworzył u siebie, tworzyć musiał z przyrodą swoją zgodnie. Jak więc rodzime, czyli własne jego, były pierwiastkowe jego ustawy społeczne, tak podobnie literatura, bez której w czasach przedpismennych nawet ostać się nie mógł, bo literatura nie w samém tylko jest piśmie, jest ona także w myśli i uczuciu, w głowie i sercu, w mowie, śpiewie, muzyce, sztukach, przemyśle, obyczajach, zwyczajach, słowem: w całym umysłowym i zmysłowym jestestwie narodowym. Wszakże one czasy pierwotne, jako przekazane ustnemi tylko podaniem, nie wchodziły w zakres literatury pismiennej; wszystko nią objęte jest dopiero z tych czasów, kiedy w łonie Polski grały już dwa żywioły: rządzący i rządzony, panujący i opanowany, czyli pański i chłopski. Innego żywioła w dawniej Polsce nie było, bo rząd wolą szlachty stawiany i od niej zawisły nie był rzeczywiście ani panującym ani

rządzającym. Z tej strony uważana Polska, w szlachcie była narodem, tak że szlachcie polski stał w środku między dwoma zawisłymi czyli poddanymi swoimi, to jest: między rządem ze swego ramienia a swoim niewolnikiem, nad jednym z których panował szlachto-władnie czyli z bracią szlachtą pospół, a zaś nad drugim samowładnie czyli po królewsku, jak król na wiosce swojej. Przy takim urządzeniu społeczeństwa, ani góra ani dół, ani rząd ani naród, nie mogły wpływać stanowczo na kierunek literatury. To sprawiło, że nie było w Polsce ani literatury dworskiej, nie wyłączając nawet, pod innym względem wielce dworskich czasów Stanisława Poniatowskiego, ani literatury narodowej, mimo przelotnych na tej drodze błysków. Szlachta polska, zagarnawszy wszystkie prawa jednej strony i drugiej, wszystkie w sobie treściła. Były więc ziemie i wody, wsie i miasta, rządy i sądy, zjazdy i zajazdy szlacheckie, i była też literatura szlachecka, lepsza lub gorsza, według tego, jak w czasie danym, szlachta była lepsza lub gorsza, narodowem lub obcym ożywiona tchnieniem. Czasy nawet najświetniejsze literatury polskiej: *Wiekem Złotym* zwane, właśnie w tém nad innemi górują, że wybornie onocześnie szlachtę polską reprezentują. Uważani pod tym względem pisarze polscy, nie tylko z czasów Jagiellońskich, ale z czasów Batorego i Zygmunta Szwedę, wcale się nie różnią. Szlachcie Polski, dla Reja, był najdosko-nalszém jestestwem na jakie opatrność zdobyć się mogła. Skarga, kochający Polskę jako ustanowienie Boże, upominający króla i pany odstępujące ojczyzny, nie zdołał zwrócić głosu swojego tam, kędyby głos jego nie był wołającym na puszczy. Najznamienitsi onych czasów poeci: Kochanowscy i Szymonowicz, nie stroili lutni swoich, jedno dla ucha szlacheckiego. Ale co im rzeczwisty zaszczyt przynosi, i z kąd słusznie ich literatura: *Wiek Złoty* nazwę nosić ma prawo, to jest to, iż umieli łączyć swą powinność pisarską z polityczną potrzebą narodu, i że każdy z nich prawie, z każdego wiersza swego, zdaje się wołać z psalmistą: "Jeżeli cię zapomnę "Ojczyzno moja miła i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicy "ręki mojej; niech język mój przysycha do podniebienia, jeżeli "pomnieć na cię nie będę, a jeżeli cię na czele wszystkich spraw "moich nie położę."

Jakoż, w następnym wieku, Polska, acz przedłużała zawód swój literacki, nie ma już na nim piętna przeszłości. Panowanie kilku królów cudzoziemców, którzy nie umieli ani mówić po polsku, ani kochać Polski po polsku, uważać można za najpierwszą i najwła-niejszą przyczynę wszystkich następnych nieszczęść narodowych. Rzechy, że z wypędzeniem mowy polskiej z ust polskich, wymykało się serce polskie z piersi. Wszędzie pozorem usiłowano zastąpić brak wewnętrznej wartości. Pod wasem student, jako się wyraża charakterystycznie Lelewel, z infimy gdzie się był gramatyki na pamięć wyuczył, szedł do retoryki, gdzie go tylko w napuszonych frazesach ćwiczone, i do filozofii, gdzie go w zręcznem udawaniu fałszu za prawdę wydoskonalono. Każdy wprzód wiedział, że był szlachcicem, aniżeli że miał ojczyznę. Znowuż, najwłaśniejsze odbicie stanu politycznego narodu w jego literaturze. Rzeczpospolita w nieładzie lub letargu, i w rozstrojeniu albo spi literatura. Przebudzi się czasem pamięć dawnej potęgi, zateśni serce synów do wielkości i sławy ojców, rzuci się umysł do reform, ale młodzież wychowana u Jezuitów nie już rozbić nie umie. Naród potrze-bował zupełnego wyniszczenia złego z korzeniem; Konarski wcho-dził z niem tylko w układy. Konarski nie wiedział może, iż zakładając szkołę dostępną synom samych tylko bogaczy, zaprowa-dzał arystokrację bogactw, według wyobrażeń zachodu, kiedy dotąd szlachta polska, przynajmniej wśród siebie, używała równości. Pod wpływem takiej reformy, nie innego narodzić się nie mogło, nad nowe naśladownictwo. Wszystko było postronne. Literatura wyrażała ducha, który nie był duchem narodu, odbijała się w niej jakaś myśl, jakaś postać, ale nie narodowa, ale nie polska. Aż strach pomyśleć, co by dalej się stało, gdyby mał narodowi na wieki pamiętny, Kazimierz Puławski, nie dał był hasła i przykładu innego. Konfederacja Barska zrywając pęta niewoli, rozpoczynała epokę dźwigania się ducha narodowego. Co tylko było szlachetniejszego w narodzie, łączyło się w obozie konfederatów. Tworzył się tym spo-sobem nowy zastęp, który wprawdzie nie stawiał jeszcze przyszłości,



lecz stanowczo zrywał z przeszłością;—i kiedy stary zastęp palił kadzidła wrogom i niedoświadczonemu królowi, tedy on, z pola bojów, odzywał się pieśnią niepodległości i przeobrażenia narodowego. Literatura konfederacka żyje dotąd w podaniach tylko, albo w rękopisach i pamiętnikach prywatnych. Konfederaci drukować jej czasu nie mieli. Każdy zresztą konfederat umiał ją na pamięć, a dzieciom swoim przekazywał z pacierzem. Ale wszystkie i odezwy, i kazania, i poezye z tych czasów, tchną duchem nadziei i wiary; we wszystkich, Polska stoi jako ofiara grzechu szlacheckiego; ma skończyć, złożyć zwłoki swoje,—lecz *zmarłych wstanie*.

Czém literatura konfederatów na ziemi ojczystej, tém literatura legionów była w czasach tułactwa po zupełnym rozbiore kraju. Pieśń ich bojowa: "*Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!*" otwiera się słowem takiej nadziei, jaka nie dozwoli zginąć żadnemu narodowi, dopóki pokolenia jego ożywiać będzie. Tworząca się, jak tamta, wśród huk armat, walk i marszów ciągłych, nie mogła być obfita. Kilka pieśni bojowych, kilka notatek obozowych, otóż wszystko co ją składało. W kraju żadnej prawie literatury nie było, chyba że od czasu do czasu jakiś gorętszy patriota przelał kilka westchnień na papier, ostrożnie z ręki do ręki podawanych, lub że jakiś odstępcza zakrwawił serce polskie pamfletem na cześć wrogów. Dopiero ze zwyciężkami orłami Napoleona, wraca z legionami literatura na ziemię ojczystą; ale samo owoczesne położenie Polski względem bohatera Francji wpędzało jeszcze pisarzy polskich na starodawny tór naśladownictwa. "Przerażający stan!" woła Goszczyński. Polacy w gładkich, sentymentalnych wierszach, w cedzonych przez zęby frazesach i komplementach, przesadzali samych "Francuzów!" Proza nie mogła się od rymotwórstwa wydzielać. A jednakże, ani jedna ni druga nie wahała się przyznawać sobie stopnia doskonałości najwyższej, imieniem klasycyzmu ochrzczonej. Ale na wszystko snąć jest czas i miara,—bo właśnie kiedy się zdało, że klasycyzm zasypiać mógł na laurach swojego panowania, on zerwał się na nogi i krzyk podniósł przeciwko nowatorstwu. Z całą siłą tragicznego gniewu zagrział pierwszy Osiński, z całą żółcią obrażonego klasycznego areopagu poparł go Dmochowski. Inni już nieco dawniej spiknęli się, i uderzyli to na pisownię Felińskiego, to w tym podobne nowości. Aż oto wystąpił i człowiek głośnego w ścisłych umiejętnościach znaczenia: Jan Śniadecki! Rozległ się dookoła okrzyk: Romantyczność! Ukazały się dwie strony. Homerowski z tego powodu zostawił obraz Mochnacki: "Powstał wrzask i zamieszanie boju. Wzmaga się zaciętość; towarzyszy jej zasłanie, które często zasłania oczom walczących przedmiot ich walki. Sam widok zuchalców targających się na wielkie, nieknie dotąd imiona, sama ich ufnosć w zwycięstwo, podnosi potęgę jednych, odbiera drugim moralną siłę. Klasycy słabną. Klasycyzm upada. A z bojowiska powstaje Mickiewicz, zapowiada tryumf, i rozpoczyna stanowczo Nową Epokę Literatury, pod imieniem: *Romantyczność!*"

Na następny, drugim z kolei posiedzeniu, Ob. Zienkiewicz, rozwijając, jak obczyzna, a mianowicie: Łacina naprzd a Francuszczyzna potem, zaszkodziła czystości naszej mowy pierwotnej:—Tak jest, rzekł, Łacina i Francuszczyzna zaszkodziły naszemu językowi; ale nie naszemu sercu, ale nie myśli i duchowi; ale nie przeznaczeniu i posłannictwu naszemu. Łacina zepsuła nam język troche, Francuszczyzna skrzywiła obyczaje troche, ale treść narodowego jestestwa pozostała nietknięta. Snać to nawet zapisanem było w narodowych naszych wyrokach, że niekoniecznie od samych Greków, lub od Wschodu tylko, nam Polakom rozumu uczyć się należało. Od Łacinników to pewnie nauczyliśmy się onych instytucji, które naród nasz przez długie wieki w świetności i szacunku nieznanym innym narodowości sławiańskim utrzymywały; od Łacinników to pewnie, albo raczej od Rzymu łacińskiego, nauczyliśmy się tej miłości, która nieszczęśliwych nie ze skały strącać lub na Sybir pędzić, ale się opiekować nimi, ale im sprawiedliwość braterską wymierzyć nakazuje; i ob Zachodu to, albo raczej od Francuzów, nauczyliśmy się niejednej pożytecznej prawdy, z których sławby dziś wprawdzie nie zbieramy jeszcze plonów, ale które, prędzej czy później, nie my, to będą zbierać pokolenia nasze; albowiem prawdą pewnie jest, co w chwili śmierci wyrzekł Szymon

Konarski, iż *Bóg nie sieje naprótno*. Toż więc, jakiegokolwiek co do tej łączności naszej z Zachodem może być czyje zdanie, przyznać musi, iż jej przedewszystkiem winniśmy, żeśmy tém pozostali, czém dziś jesteśmy,—gwiazdą oświecającą przyszłość Sławiańszczyzny.

Z kolei, aby myśl wykładu nie była dla słuchaczy wątpliwą, rozwijał Ob. Zienkiewicz obowiązek krytyki literackiej wobec politycznej potrzeby narodowej, a przechodząc do głównego przedmiotu swojego założenia: Jestto, mówił, zjawisko godne uważania, ta u nas zaciętość klasycyzmu z romantycznością. Gdzie indziej, walka ta odbyła się cicho, spokojnie, między samymi uczonymi; w Polsce cała ludność czytająca wystąpiła do boju, wzięła udział w walce. Wyraźnież naród polski przeczuwał, iż pod temi oznakami zwierzchniemi leżało w gruncie oburzenie przeciw wszelkiemu wewnętrznemu zepsuciu i zewnętrznej przemocy, przeciw wszystkim złym nałogom, błędom i uprzedzeniom siłą ucisku wspieranym;—że pod nazwą romantyczności, podejmował wewnętrzne i zewnętrzne wyzwolenie się swoje. Wzniósł była myśl nowatorów i szlachetne ich chęci, ale nie spali jej nieprzyjaciele, silni długą swych zabiegów robotą. Dostatek jest przywieść do pamięci owoczesny stan publicznego oświecenia w Polsce, żeby pojąć trudności i zawady, z jakimi nową myśl walczyć przychodziło. W królestwie, Szaniawski scholastyk i cenzor był nadzwyczaj czynnym w ociemnianiu młodzieży. Czego sam podjąć i dokonać nie mógł, to brał na siebie Grabowski faryzeusz i bigot, albo Nowosiłców ateusz i materyalista. Nie lepiej było na Litwie i Rusi. Nic narodowego, nic coby Polskę w Wilnie lub Kijowie przypominało. Wychowanie w Galicji było prawie podobne, z tą różnicą tylko, że co Moskwa u siebie przeprowadzała nakazem i przemocą, do tego Austria dochodziła obłudą i chytrą. Prusy stały w środku. Wierne dwulicowej zawsze polityce swojej, oba systemata połączyły u siebie. Moskwa uciskała uniwersytety, Austria urządzała je obskurantycznie, w Polsce więc zagrabionej przez Prusy nie było żadnego uniwersytetu. A Kraków? Kraków podany na umeczenie w ręce trzech takich opiekunów, znosił potrójne ociemnienia katusze. W takim stanie oświecenia publicznego zastała Polskę idea romantycznością zwana. Biła się więc nieszczęsna, jak o wiosnie łódka, pomiędzy krami rzeki, więzy łodowe zrywającą, aż porwana i skołatana spaść mogła z jednej ostateczności w drugą, z materyalizmu do mistycyzmu, coby prawie na jedno wychodziło. Mistyczny Mickiewicz a jenuz przodkował tej szkole i niesłychanym sposobem ciągnął roje naśladowców za sobą. Nie mogłeś nowej książki otworzyć, żebyś się nie spotkał z trupami, upiorami, martwicami, czarownicami, z diabłami i duchami. Bóg wie, coby znowu się stało; dokądby tą kabalistyką wiedziony umysł polski był zaszedł, gdyby Malczewski, Goszczyński i Zaleski, wszyscy trzej także wielkim poetycznym talentem oznaczeni i jak Mickiewicz starą szkole przeciwni, nie byli wystąpili. Malczewski w Maryi, Goszczyński w Zamku Kaniowskim, Zaleski w dumkach a szumkach ukraińskich, lecz po polsku pisanych, wszyscy trzej naraz, widomie okazują, że nie w Byronie i Szekspirze, nie w Getym i Szyllerze, nie po Anglii i Niemczech, ani nawet po Krymie, ale we własnej myśli i własnych narodowych dziejach, pisarze polscy natchnieni i przedmiotów szukać dla siebie mają, jeżeli istotnie swój Ojczyźnie usłużyć pragną. Odtąd, z każdym dniem zmieniała się wyraźnie postać literatury polskiej. Dziennikarstwo nawet z powołania i przeznaczenia w najtrudniejszym położeniu będące, usamowolniało się poczęści. Na te czasy przypada także dzieło Mochnackiego: o Literaturze Polskiej, w którym autor uczenie i mistrzowsko wyprowadzał na jasnie najgłówniejsze i najżywniejsze zadania narodowe. Rzewnym i żartkim głosem powoływał on Naród polski do pocucia się i uznania w jestestwie swoim, aby tak rozbudzony, poruszył samodzielność swoją i żyć dla siebie zapragnął. Wszystkie on zaprawdę wołania i zaklęcia swoje odnosił i stósował do literatury, bo pod nożycami cenzury warszawskiej i drapieżnością belwiderskiego tygrysa nie mogło być inaczej, ale młodzież tak łatwo odgadrywała myśl estetyka swego, jak dobrze rozumiała romantyczność poetów swoich, i niewiele potrzebowała już czasu, by za jej sprawą słowo to stało się ciałem, w pamiętnej nocy 29 Listopada. (D. c. n.)